



Katarzyna Turaj-Kalińska  
**Amor ekshumowany**

**Agnieszki Osieckiej  
i Jeremiego Przybory**  
**listy na wyczerpanym papierze**  
pomysłodawca i opiekun  
artystyczny: Magda Umer  
Agora, Warszawa 2010



**T**o było tak, to było tak... W początkach lat 60., kiedy emitowano w Polsce pierwszą wersję *Kabaretu Starszych Panów*, byłam jeszcze za mała, żeby go regularnie oglądać. Pamiętam tylko, że się zastanawiałam, co to znaczy, że „piosenka jest dobra na [...] stopę za niską”. Czyli, że na platfusa?!

Dorośli jednak jakoś mnie zdołali zarazić powszechnym kultem i w końcu poznałam na własnej skórze ten pocziwy narkotyk. Pewnego dnia udało mi się zdobyć drukowane teksty Jeremiego Przybory, no i zaczęło się szaleństwo. Do dziś mam ów zaczytany, potargany, poklejony i popisany komentarzami egzemplarz. Oddała mi go po latach szkolna przyjaciółka, z którą wtedy nie rozmawialiśmy inaczej jak tylko cytatami z *Niespodziewanego końca lata*. „– Przetnę sobie przewód. – Pokarmowy? – Nie, telefoniczny. – Jezus, Maria, na pomoc! – Dziewczęta z damskiej orkiestry dętej w Pogódcie Zdroju schodzą na złą drogę, zwłaszcza waltornie. – A Wdówka wypuściła z futerału niedużego, ale bardzo zdolnego kontrabasistę...”. Znałyśmy, naturalnie, także piosenki: *Bo we mnie jest seks*, *Szarp pan*

*bas*, *Już kąpiesz się nie dla mnie*, *Tango Kat*, *Odrobina mężczyzny na co dzień* – po której na całe życie pozostało mi upodobanie do drobnych brunetów... Aż w końcu przyszedł czas na te liryczne, towarzyszące zakochaniu: *Nie odchodź, z mych tęsknot ciebie znam... Patrzę na ciebie i gdy na innych patrzę... Ratunku! Na pomoc ginącej miłości, nim zamrze w niej puls pocałunków i tętno ustanie zazdrości!*

Nikt nie prowadził chyba statystyk, ale wszystko wskazuje na to, że miliony młodych i starych, lepiej lub gorzej wykształconych Polaków jakimś cudem dorastały do tego wyrafinowanego, zdawałoby się, humoru. Do majstersztyku erudycyjnych gier słownych, do delikatnego pastiszu i parodii. Albo nie jesteśmy jako naród tak całkiem prymitywni, jak lubimy się sami oceniać, albo spłynęło na nas boskie natchnienie. Dość, że mieszkanko Pana A i Pana B, nawiedzane przez groteskowe postacie o proweniencji arystokratycznej (hrabina Tyłbaczewska), proletariackiej (Ślusarz), kryminalnej (Tanie Dranie) albo po prostu tajemniczej (Wdówka, Jesienna Dziewczyna, Błady, Dosmucacz) było domem, do którego każdy chętnie by

uciekł z własnego, podobnie jak do Parku Dalekiego Dzieciństwa z późniejszych *Opowieści Starszego Pana*.

Wchodziliśmy ochoczo w te dobre sny o nas, jak w tej piosence: „Dobranoc i niech wam się przyśnią pogodni, zamożni Polacy; że luźnym zdążają tramwajem wytworną konfekcją okryci. I darzą uśmiechem się wzajem i wszyscy do czysta wymyć. I wszyscy uczciwi od rana od morza po góry aż hen...”. Wszyscy się czuli obdarowani tą poetycko odświeżoną polszczyzną, przydatną zarówno do towarzyskiej wymiany żartów, jak i do wyrażania głębszych uczuć.

Mniej popularna, ale godna uwagi okazała się także proza Jeremiego Przybory – opowiadania pisane w podobnym mikroklimacie, harmonijnie łączące subtelny liryzm i absurdalną groteskę z satyrą na zjawiska obecne w realnym świecie. A to na dyktaturę wojskową w jakimś niby to odległym kraju, a to na dewocję, a to znów – bezinteresowną nienawiść (zbiór *Ciociu przestrasz wujka*)... Po latach pojawiła się jeszcze autobiografia nie mająca sobie równych w literaturze wspomnieniowej. Wypieszczona stylistycznie, wnikliwa, pełna barwnych szczegółów. Już nie tak żartobliwa jak dawne utwory, do bólu szczerą, głównie melancholijna. „Brateczek, astereczka, cyneraryjka. Smuteczek, chandereczka, melancholijka. Na pustych bezdrożach zasnutych mgłą – włóczęga, bradiaga, le vagabond”...

Szczególne miejsce zajmuje w tych wspomnieniach noszących tytuł *Przymknięte oko Opaczności* ostatnia, długoletnia żona autora, scenografka Alicja Wirth, której surrealistyczne rysunki, idealnie przystające do tekstów, zachwyciły

mnie od dawna w zbiorach jednoaktówek takich jak *Miłość do Magister Biodrowicz* czy *Teatr Nieduży*. Przybora uczynił jej heroiczny życiorys istotną częścią autobiografii, poczynając od takiej oto autoinwokacji pod jej zdjęciem w niemowlęcym wieku: „Ta gwiazdka obdarzy Cię z niewielkim opóźnieniem najpiękniejszym podarkiem twojego życia. Stop. Podarkiem w dodatku nie zasłużonym. Stop. Dwudziestego dziewiątego urodzi się twoja przyszła żona Alicja. Podpisano: Św. Mikołaj, grudzień 1926”.

To wszystko ogromnie mi się podobało i, dalebóg, najzupełniej mi wystarczało.

Nie mam aż tak wielkiego sentymentu ani podziwu dla Agnieszki Osieckiej, ale skłamałabym, twierdząc, że jej twórczość nie odegrała żadnej roli w moim życiu. Jako nastolatka z wypiekami na twarzy oglądałam w telewizji *Listy śpiewające*, nadstawiając pilnie ucha wykonaniom Łucji Prus. „W żółtych płomieniach liści brzoza dopala się ślicznie...”. Ładny obrazek. „Dookoła noc się stała, księżyc się rozgościł, jeszcze ci nie powiedziałam wszystkich słów miłości”. Jakież to było trafne dla młodych słuchaczek, które jeszcze w ogóle nikomu poza kotem i mamą nie powiedziały żadnych „słów miłości”...

„Ze świata czterech stron, z jarzębinowych dróg, gdzie wiatr zmęczony, las spalony, noc i chłód...”. Były też takie hity, jak ballada z filmu *Wilcze echa*, której chyba nikt do dzisiaj nie kojarzy z Osiecką. Podobnie jak śmiesznej katarynki: „Bo ja tak mówiłam żartem, dobry żart jest tynfa wart...”. Było i dansingowe, nieśmiertelne *Portofino*, dość pokrewne w treści pewnej piosence z repertuaru Tercetu Egzotycznego, ośmieszanej jako największy

kićz polski: „Już tylu chłopców odeszło z naszego puebla...”. Co u innych brano za kicz, u niej uchodziło za „dobry żart tynfa wart”.

Pisywała teksty chwytające za gardło. Jak te do *Sztukmistrza z Lublina*. „Oczy tej małej jak dwa błękity. Myśli tej małej – biały zeszyty...”. Z drugiej strony popełniała knoty w stylu gorszym niż disco-polo: „Mój kochanek chyba wściekł się, stale plecie coś o seksie, wciąż mu w głowie jakieś bolki, lolki, czego wy ludzie chcecie od Polki”. W największych przebojach też trafiały się kiksy podporządkowane rytmowi i rymom. „Chłoporobotnik i boa, grzechotnik z niebytu wynurza się fal”. (Ten dziwaczny przecinek między „boa” a „grzechotnikiem” przytaczam za wydaniem z 2010 r. Prószyńskiego i S-ki). „Czy wędrował kto drogą, co słońce odchodzi, kto ciekawy, zapraszam do starej mej łodzi”. Hmm... To w końcu wędrował czy płynął? „Nie o to chodzi by złowić króliczka...”. Jakiego znowu króliczka i dlaczego ma on być szukany „po mieście ze świecą”? Czy to charty gonią zwierzątko futerkowe, czy też jakiś lowelas ugania się za króliczkiem „Playboya”? Najwyraźniej ten królik wyskoczył z cylindra magika.

Podobnie jak inne *cuda te fantastyczne*, którymi sypała jak z rogu obfitości, z czym początkowo próbowali walczyć purystycznie nastawieni krytycy, z góry skazani na przegraną. Bo choć jej nieograniczona licencja nie zawsze była całkiem *poetica*, to i tak Osiecka hipnotyzowała piosenkami, niczym „boa-grzechotnik” wyżej wzmiankowanego „króliczka”. Nie patrzyło się w zęby szlagwortom. Wszyscyśmy się radośnie kręcili w chochołim tańcu, bo „życie to bal jest nad bale,

bo wariatka jeszcze tańczy, bo zielono nam”, bo jesteśmy „proszę pana na zakręcie”, a zresztą: „czy te oczy mogą kłamać, chyba nie”.

Ona także wchodziła nam w mentalność narodową. Zupełnie innymi sposobami – podświadomie, podskórnie, podstępnie – trochę, co tu kryć, obniżając poprzeczkę ustawioną przez Przyborę na zawrotnej wysokości. On subtelnie zapraszał do własnego, odrębnego świata. Ona nam narzucała swoje gorzkie i nieco chaotyczne widzenie rzeczywistości. Jeremi Przybora był dobrym duchem języka, Agnieszka Osiecka – dyktatorką językowych mód. Niemniej był taki czas, gdy oboje sprawowali w Polsce rząd dusz.

Mogli to robić z powodzeniem osobno, ale los złączył ich w pierwszej połowie lat 60. dwuletnim romanssem o dość typowym scenariuszu. Ona młoda, ale już po wielu sukcesach (sts, szlagiery radiowe, główna nagroda na festiwalu opolskim za *Okularników*). Rozwiedziona, obsesyjnie towarzyska, maniackalnie podróżująca, czy też uciekająca od siebie samej, do tego – spektakularnie niegospodarna. On – w niebezpiecznym średnim wieku, powszechnie szanowany i sławny, ale niezbyt szczęśliwy w małżeństwie. Domator, odludek, mieszkaniowiec własnej wyobraźni. I przedwojenny tradycjonalista w kwestiach podziału obowiązków domowych. Finał zatem do przewidzenia. A w międzyczasie – sporo listów, kartek i telegramów inspirowanych częstymi i długimi rozstaniem.

Z tej właśnie korespondencji postanowiono po latach zrobić towar, lansując ją jako arcydzieło epistolografii i literatury miłosnej przyćmiewające listy Kafki do

Mileny Jesenskiej – cytuję wypowiedź radiową córki Agnieszki Osieckiej, Agaty Passent – i jak się dobrze zastanowić, to kto wie, kto wie, może i listy Abelarda i Heloizy, a w porywach – sonety Petrarke albo Szekspira.

Nie ma w nich, naturalnie, nic skandalicznego. „To była miłość nieduża [...]”, a poza tym zarówno Jeremi Przybora, jak i Agnieszka Osiecka byli kulturalnymi ludźmi – oboje też zdawali sobie sprawę z tego, że ktoś to po latach przeczyta i wyraźnie dokładali starań, by stanąć na wysokości zadania literackiego. Arcydzieła nie stworzyli, najwyżej zestaw przyjemnych w czytaniu, gładkich tekstów, w których od czasu do czasu pojawia się zgrabny bon-mocik, jaki mógłby zostać zużyty do dialogu kabaretowego albo piosenki, gdy tymczasem zmarnował się w prywatności.

Choć, jak widać, nie zmarnował się jednak. I chyba najprzykrzejsze jest to, że w czasach, kiedy celebrytizm w Polsce stawiał pierwsze nieśmiałe kroki, tych dwoje już czuło na sobie spojrzenia publiki i podsłuch potomności. Przybora pisał do Osieckiej: „Może to dlatego, że nasze piosenki siadały sobie od dawna na jednym drzewie, na którym nie siadały żadne inne”. Subtelny, ale jednak kabotyzm. Ona mu basowała: „Wiesz, jest w nas obojgu coś takiego (wyobraźnia? poczucie humoru? dystans dzielący od wszystkiego?) – co powoduje, że z przerażeniem myślę o chwili, kiedy znajdziemy się sami w pokoju [...]”. Dwoje geniuszy sam na sam w łóżku, zaiste sytuacja mrożąca krew w żyłach. Z drugiej zaś strony zakochani o przeciętnych walorach umysłowych z pewnością nie miewają żadnych

obaw przed pierwszym zbliżeniem, bo niby na jakiej podstawie?

Po latach, powierzając listy Osieckiej Magdzie Umer, Jeremi Przybora miał powiedzieć, że „literatura polska nie wybaczyłaby ich zniszczenia”... Naturalnie, zawsze możemy przyjąć, że żartował, jak to miał w zwyczaju.

Pastiszowali sobie nawzajem piosenki. „O, Jeremi, czy jesteś już na dnie? – Przecież nie jesteś w Porto Fino, więc skąd byś mogła zawołać: wróć”. Tytułował ją w kółko „Safo Słowieńską” i „Śpiewaczką Ucieszną”. Uff... I po co mieszać do jakiegoś późniejszego o czterysta lat ambarasu damsko-męskiego Bogu ducha winne truchelko Orszulki Kochanowskiej razem z jej zrozpaczonym ojcem?

W innym miejscu Przybora przyznawał, że do określania ukochanej „brakuje mu synonimów”. Szalenie oryginalne, przeciętny prostak powie przecież najwyżej, że brak mu słów. Kiedy zaś, jak to w telenoweli bywa, pojawiła się obawa o ciążę, Osiecka dała koncert domorosłej eugeniki: „Właściwie to byłoby coś cudownego urodzić Twoje dziecko [...]. Po pierwsze byłoby strasznie inteligentne i roztargnione [...]”.

Nie wiadomo, co bardziej żenujące. Czy zarozumiałość wziętych artystów, czy ogólnie rzecz biorąc – banalność sytuacji widzianej oczami kogoś postronnego. A może przede wszystkim to, że wiska nam się po latach tę cudzą intymność, która naprawdę nadawała się tylko do tego, żeby zaistnieć między dwojgiem ludzi i do niczego więcej? „Nie to, że mi powiedziałeś w Bristolu, że nie możesz się ze mną ożenić”. Takie rzeczy bardzo przykro się czyta, jeśli nie jest się hieną.

Rzecz jasna, żadne listy na świecie nie nadają się do recenzowania. Tym bardziej nie należy recenzować cudzej miłości – że banalna albo też nie wolna od snobizmu czy pozy. Ja tylko próbuję polemizować z nachalną reklamą. W szczególności z wmawianiem czytelnikom, że mają do czynienia z wielką literaturą.

Kupiłam *Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze* z przyzwyczajenia do polowania na wszystko, co firmowane jest nazwiskiem: Przybora. A kiedy już zaczęłam się w nie zagłębiać z rosnącym zniecierpliwieniem, przypomniła mi się stara, dobra zasada, że cudzych listów po prostu się nie czyta.

Starsi zapewne przyswoili sobie tę zasadę wraz z odebraniem wychowaniem. Młodszy być może już jako mantrę powtarzaną przez psychologów o prawie do prywatności przysługującym nawet zupełnie małym dzieciom. Jednocześnie wszyscy tę zasadę zawsze łamali, łamią i łamać będą: rodzice pod pretekstem prewencji wychowawczej, dzieci, żeby się czegoś o sobie dowiedzieć, małżonkowie z podejrzliwości, służby specjalne zawodowo, a postronni – z ciekawości. I nie ma znaczenia, czy trzeba się w tym celu włamywać do wieloszufladowej sekretery, czy też skrzynki mailowej albo telefonu komórkowego. Korespondencja nadal pozostaje korespondencją, komunikatem nie przeznaczonym dla nikogo z wyjątkiem adresata.

Może najbardziej kuriozalne odstępstwo od świętej zasady nietykalności cudzej korespondencji widziałam w internacie przyklasztornej szkoły. Zakonnice zalecały tam uczennicom niezaklejanie kopert „na znak zaufania”. Co bystrzejsze

dziewczęta omijały jednak domową skrzynkę i biegały prosto na pocztę. Ale sprytnie działał tylko w jedną stronę i listy przychodzące z zewnątrz – na ogół od rodziców – miały nader często rozdarte koperty. „– Ach, to na poczcie szukają pieniędzy!” – wzdychały siostry, wznośząc oczy do nieba. Z podobnym zjawiskiem przyszło mi się zmierzyć jeszcze raz – w stanie wojennym. Każdy kto sięga doń pamięcią, zna dobrze, a może nawet ma w szufladzie, rozdarte listy z pieczętką „OCENZUROWANO”. Był to z kolei rodzaj *nomen omen* otwartości służącej zastraszeniu, i nie wiadomo doprawdy co gorsze – brutalna szczerość czy hipokryzja. Bo kiedy tak patrzę na świat oczami, wokół których przybywa zmarszczek, to właśnie hipokryzji zaczyna mi niekiedy dziwnie brakować.

Dzisiaj wreszcie już nie trzeba robić żadnych ceregieli. Każdy czyta bez żenady, co mu w ręce wpadnie i co sobie wygrzebie. A jeśli sobie sam wygrzebać nie zdoła, to mu zawsze ktoś coś usłużnie podetknie pod nos, na ogół już w postaci gotowej publikacji. *No i jak tu nie... czytać?*

Niestety, tego wciąż nie potrafię. Czytam, a potem, rzecz jasna, żałuję, bo mi ta trywialność życia ogromnie psuje widok na literaturę, która jako osobny, daj Boże, świat, powinna być poza podejrzeniem, jak żona cezara. Tak było i tym razem. Dużo sobie w środku napsułam i mam za swoje. Tymczasem, z tego, co mi wiadomo, Fundacja im. Agnieszki Osieckiej odgraża się jeszcze, że do prywatnego archiwum autorki spływają tysiące listów, którymi zasypywała i innych amantów, przyjaciół czy tylko znajomych. I że ku uciesze fanów wszystkie będą wydane.

To już bez mnie. Podobnie chyba zastanowiłabym się w przyszłości dwa razy nad dalszym wgłębianiem się w życiorys Jeremiego Przybory od strony jego korespondencji. Na szczęście nic nie wskazuje, żeby nam to groziło. Na szczęście, czy też na nieszczęście, bo w przeciwieństwie do Agnieszki Osieckiej nie doczekał jakichś szczególnie prężnych opiekunów spuścizny. Dowiedziałam się z przykrym zdziwieniem, że ani on, ani kultowy *Kabaret Starszych Panów* stworzony do spółki z genialnym i zarazem niezmiernie statecznym Jerzym Wasowskim, nie doczekali się dotąd muzeum czy też fundacji; że dacza w Pławach, którą tak często pokazywała telewizja, stoi zatrzęsnięta na głucho i popada w ruinę wraz z pięknym niegdyś ogrodem, stworzonym przez Alicję Wirth.

Rozumiem, koszty, kryzys, ale jednak wokół Osieckiej ostatnio znów wzmaga się medialny szum. Wznawiana jest jej niezbyt dojrzała, infantylno-deliryczna proza i plotkarskie wspomnienia, wydawane są teksty piosenek – najwyraźniej zresztą pośpiesznie, niestarannie, bez dat

i jakichkolwiek przypisów – a odręczne notesy, począwszy od bazgrołów małej dziewczynki, dostępne są w internetowym archiwum fundacji – *Okularnicy*. Cóż, napisała ponad dwa tysiące piosenek, a Jeremi Przybora – nie wiem, czy dobił do dwustu. Ale z drugiej strony – co to za miara?

Dlaczego, zamiast handlować taką kontrowersyjną artystycznie intymnością, nie wznawia się doskonałej prozy Przybory, a jego trzytomowe memuary wydaje się po raz drugi tylko w jednym tomie, po olbrzymich skrótach? Czemu to głośna promotorka jego twórczości, inicjatorka opublikowania korespondencji z Osiecką, Magda Umer nie postarała się nawet o założenie swemu Mistrzowi strony internetowej? Z jakiej przyczyny wreszcie na Wikipedii nie ma biografii Alicji Wirth, a jej wspaniałe rysunki i projekty scenograficzne sczeły, jakby ich nigdy nie było? Umarły śmiercią wirtualną lub zgoła nie zdołały się narodzić w sieci.

*Smuteczek...*

**Katarzyna Turaj-Kalińska**

Dariusz TOKARCZYK, detal

